

BIEDNY JAK WICEPREMIER

Przyznanie nagród ministrom w rządzie Beaty Szydło po raz kolejny wywołało gorącą dyskusję, ile powinni zarabiać politycy. Listę nagrodzonych otwiera Mariusz Błaszczak, były szef MSWiA – 82 tys. 100 zł. Dopiero na drugim miejscu znalazł się premier Mateusz Morawiecki (75 tys. 100 zł). Taką samą nagrodę otrzymał Witold Waszczykowski, były szef MSZ, którego zapamiętamy jako odkrywcę państwa San Escobar, demaskatora cyklistów i wegetarian. Dostał o 5 tys. więcej od Elżbiety Rafalskiej, jednej z najlepszych ministrów w gabinecie Szydło. Jan Szyszko został oceniony równie wysoko jak Rafalska (zapewne za walkę do upadłego z kornikiem drukarzem).

Mariusz Kamiński, minister koordynator służb specjalnych, zainkasował jeszcze mniej – 65 tys. 100 zł – ale on podobno nie przywiązuje wagi do pieniędzy.

Jarosław Gowin musiał zadowolić się taką nagrodą jak minister Kamiński, chociaż jest wicepremierem, a przygotowywana przez niego przez dwa lata ustawa o szkolnictwie wyższym kosztowała bardzo wiele pracy. Oliwy do ognia dołał wicepremier Gowin, który stwierdził, że gdy był ministrem sprawiedliwości w rządzie PO – PSL, to nie zawsze starczało mu do pierwszego.

Wysoki urzędnik państwowy nie powinien opowiadać takich rzeczy, chociaż jest prawdą, że będąc jedynym żywicielem pięcioosobowej rodziny, zarabiał wówczas 11 tys. zł na rękę. Gowin przeprosił, ale i tak rozpętała się burza.

Roman Giertych napisał list do Beaty Szydło, w którym: gratulował jej uzyskania nagrody od premier Beaty Szydło (65 tys. zł). Poprzednicy pani premier (np. Leszek Miller) także dostawali nagrody, ale byli na tyle dyplomatyczni, że pod wnioskiem podpisywali się ich zastępcy.

Krytycy rządu cytowali słowa Mariusza Błaszczaka, który gdy był posłem opozycji, stwierdził: – W Polsce odbiera się rodzinom dzieci z powodu biedy, poziom życia rodaków jest coraz niższy, a rząd jak gdyby nigdy nic hojnie obdarowuje się nagrodami. Politycy PiS przypomnieli natomiast, że Ewa Kopacz, gdy była marszałkiem sejmu, przyznała sobie nagrodę w wysokości 45 tys. zł, a swoim zastępcom o 5 tys. mniejszą.

Opozycja ripostowała, że marszałkowie jednak pieniądze zwrócili. Nagrody to stały element wynagradzania najważniejszych osób w państwie. Przyznawano je od zawsze – w mniej lub bardziej zawołowanej formie. Na liście nagrodzonych widnieją 22 nazwiska. Jest wśród nich sześciu zdymisjonowanych ministrów (nie licząc pani premier, której obniżono stanowisko).

A skoro tak, to znaczy, że premier, prezydent i władze rządzącej partii ocenili ich działalność negatywnie. Za co więc nagrody? Inną sprawą są ministerialne pensje, które być może są za niskie. Ale w takim razie, czy nie prościej i bezpieczniej byłoby po prostu podnieść wynagrodzenie ministrów, zamiast przyznawać im „uznaniowe” nagrody?

Teraz jednak z ewentualnymi podwyżkami jest już problem. Jak w sobotę doniósł „Fakt”: Jarosława Kaczyńskiego tak rozwścieczyły ostatnie informacje o nagrodach w rządzie i wydumane problemy Gowina, że o podwyżkach płac, nawet dla wiceministrów, na razie nie chce rozmawiać.

Zarobić na polityce?

Gospodarka ruszyła, płace w kraju wzrosły. Średnia krajowa wynosi już 4,5 tys. zł, ale w administracji państwowej niewiele się zmieniło. Poseł i senator zawodowy otrzymują 9 tys. 892 zł plus 2 tys. 473 zł nieopodatkowanej diety (przewodniczący komisji mają dodatek w wysokości 20 proc. pensji, a ich zastępcy 15 proc.).

Dyrektor departamentu w ministerstwie zarabia średnio 10 tys. 300 zł, zastępca 9 tys. 369 zł, a ich przełożony, czyli wiceminister... 10 tys. 021 zł.

Przez 14 lat ich pensje wzrosły o 770 zł (Bartłomiej Misiewicz, nie będąc nawet podsekretarzem stanu, razem z dodatkami otrzymywał w Ministerstwie Obrony Narodowej 12 tys. zł). W lepszej sytuacji są ministrowie, których pobory wynoszą około 15 tys. zł. Premier, marszałkowie sejmu i senatu mają o 1,5 tys. więcej.

Prezydent zarabia 20 tys. zł. Dużo?

Przy eurodeputowanych krajowi politycy to biedacy. Posłowie do Parlamentu Europejskiego otrzymują bowiem 8 tys. euro pensji, a za każdy dzień pracy w Brukseli lub Strasburgu dodatkowo dietę w wysokości 304 euro.

W przeciwieństwie do swoich polskich kolegów, po ukończeniu 63 lat mają prawo do parlamentarnej emerytury, która wynosi 3,5 proc. wynagrodzenia za każdy pełny rok sprawowania mandatu, jednak nie więcej niż 70 proc.

Jeszcze większymi krezusami są prezesi spółek Skarbu Państwa, których los leży w rękach branżowych ministrów lub samego premiera.

Prezes PKO BP zarabia 265 tys. zł miesięcznie, prezes Orlenu 143 tys., prezes PZU – 115 tys. To i tak niewiele, bo za rządów PO – PSL były szef Orlenu dostawał prawie 250 tys., a poprzedni prezes PZU o 20 tys. mniej. Tylko prezes PKO BP otrzymał niewielką podwyżkę, ale to podobno przyjaciel premiera (i oczywiście dobry bezpartyjny fachowiec).

A jak wynagrodzenia naszych czołowych polityków mają się do dochodów ich zagranicznych kolegów? Kanclerz Angela Merkel zarabia rocznie 236 tys. euro, a więc 4,5 razy więcej od niemieckiej średniej krajowej, gdy premier Morawiecki otrzymuje 3,6 średniej polskiej pensji.

Premier Wielkiej Brytanii dostaje rocznie 180 tys. euro, tyle samo, co prezydent Francji. Uposażenie Donalda Trumpa wynosi 400 tys. dolarów rocznie, ale prezydent oddaje je na cele charytatywne. Może sobie na to pozwolić, gdyż jego osobisty majątek wynosi 3,5 mld dolarów.

Jeszcze bogatszy jest prezydent Rosji. Majątek Władimira Putina zachodnia prasa ocenia na 70 mld dolarów i to wszystko rosyjski przywódca odłożył z prezydenckiej pensji, która wynosi nieco ponad 600 tys. zł rocznie.

Za to premier bogatego Singapuru jest całkowicie transparentny i może sobie na to pozwolić, gdyż jego rządowa pensja to 6 mln złotych rocznie

. W zachodnich demokracjach do polityki najczęściej trafiają ludzie, którzy dorobili się w biznesie. W Polsce ten kierunek jest przeważnie odwrotny. Na palcach jednej ręki można policzyć osoby, które objęły wysokie stanowiska, dysponując pokaźnym majątkiem.

Henryk Stokłosa, jedyny senator, który w 1989 roku zdobył mandat bez poparcia „Solidarności”, już wówczas był człowiekiem bardzo zamożnym (w 1990 r. na liście 100

najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost” zajmował 3. pozycję). Równie wielką fortunę (ponad miliard złotych) zgromadził Zbigniew Komorowski, poseł i senator PSL.

Jednak gdy razem z Edwardem Mazurem zakładał Bakomę, był jedynie zwykłym działaczem przekształcającego się ZSL-u.

Grzegorz Bierecki, senator PiS, założyciel SKOK, nim został politykiem, zgromadził już wielki majątek. Jest przy tym człowiekiem ostrożnym i oszczędnym (jego jedyny samochód to fiat 126p z 1998 roku).

Do polityki z dużym portfelem trafił także Robert Smoktunowicz, adwokat, właściciel dużej, dobrze prosperującej kancelarii. Smoktunowicz jest człowiekiem racjonalnym, wiedział więc, kiedy odejść.

Tej umiejętności nie miał za to Janusz Palikot. Gdy rozpoczynał przygodę z polityką, jego majątek szacowano na 320 mln zł. Dziś, jak donoszą media, podobno ma przede wszystkim długi, choć te doniesienia wydają się mocno przesadzone.

Jak zatem wynagradzać polityków, żeby na wysokie urzędy trafiali fachowcy, którzy będą również odporni na wszelkie finansowe pokusy?

Wielu historyków i politologów odwołuje się do przedwojennych wzorców, gdy generał dywizji zarabiał tyle co poseł czy profesor uniwersytecki, minister jeszcze więcej, a prezydent Ignacy Mościcki miał wyższe uposażenie od prezydentów Niemiec, Francji czy Stanów Zjednoczonych.

Jak się jednak okazało, nie uczyniło to z niego męża stanu, gdyż do historii przeszedł jako wybitny chemik, a jego znaczenie w polskiej polityce najlepiej określił trzykrotny premier Kazimierz Bartel: „Tyle znaczy, co Ignacy, a Ignacy gównem znaczy”.

Niestety, o większości polityków III RP nikt nawet takiego wierszyka nigdy nie ułożył.

Premier jak prezes (korporacji)

Andrzej Sadowski, prezydent Centrum im. Adama Smitha:

– Od lat wszystkie kolejne rządy stosowały metodę polegającą na płaceniu ministrom niskich wynagrodzeń, gdy wielu z nich miało pozarządowe synekury. W II RP istniała jasna i przejrzysta hierarchia zarobków w sektorze publicznym.

Moim zdaniem w Polsce powinien obowiązywać taki system jak w Singapurze, gdzie premier i ministrowie zarabiają tyle co prezesi i członkowie zarządu dużych giełdowych korporacji. Jednak w zamian oczekuje się od nich nie tylko ciężkiej pracy, ale również wyników finansowych, a nie opowieści z mchu i paproci.

Gdyby poseł był strażakiem

Prof. Norbert Maliszewski, psycholog społeczny:

– Od wielu lat mówi się o konieczności podniesienia uposażeń najważniejszych osób w państwie, ale bez względu na to, kto rządzi, w ostatniej chwili władza wycofuje się, bojąc się gniewu ludu.

Tak było zresztą nie tylko z podwyżkami, ale i samolotami dla VIP-ów. Dopiero gdy zdarzyło się kilka katastrof, PiS zdecydował się na ich kupno i nic się nie stało. Ale na podwyżki chyba zabraknie mu odwagi.

Do tego potrzebne byłoby porozumienie z opozycją, co przy tak silnych podziałach jest mało prawdopodobne. Nie zapominajmy też, że w rankingu zaufania społecznego politycy znajdują się na szarym końcu (poseł cieszy się zaufaniem niewiele przekraczającym 20 proc., gdy strażak ponad 80-procentowym – przyp. autora).

W takiej sytuacji trudno liczyć, żeby na stanowiska wiceministrów czy dyrektorów departamentu przychodzili najlepsi fachowcy, którzy w prywatnych spółkach mogą zarobić kilka razy więcej.

Kto zazdrości, niech spróbuje

Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców:

– Mój kolega, który jest wiceministrem, zarabia na rękę 7 tys. zł. W poprzedniej pracy miał o 10 tys. więcej. Mógł jednak pozwolić sobie na taką obniżkę, bo żona ma firmę, ale znam blisko 10 osób, które za takie pieniądze nie chciały zostać wiceministrami. Mateusz Morawiecki jako prezes banku już swoje zarobił i teraz za ułamek dawnej pensji może być premierem.

Ale pieniądze to nie wszystko. Władza, ta realna, jest tak silnym uzależnieniem jak narkotyki i nie ma w tym żadnej przesady. Może dlatego ministrowie godzą się na tak niskie uposażenie. Nie ma wątpliwości, że najważniejsi urzędnicy w państwie zarabiają za mało. Wymyśliłem nawet rządową siatkę płac.

Wiceminister powinien zarabiać dwa razy tyle co poseł zawodowy, minister trzy razy, wicepremier – trzy i pół razy, a premier – cztery i pół, a prezydent – pięć razy tyle co poseł czy senator. Dla budżetu państwa te wydatki byłyby zupełnie niezauważalne, a korzyści z pewnością duże.

Jeżeli ktoś zazdrości ministrom ich pensji, premii i służbowych samochodów, uważa, że ich zajęcie jest lekkie, łatwe i przyjemne, to niech startuje w wyborach i pokaże, co potrafi.

Góry chałtury

Prof. Ryszard Bugaj, Instytut Nauk Ekonomicznych PAN, poseł na Sejm:

– Podstawowe wynagrodzenia ministrów czy ich zastępców są dość mylące, tak samo jak w przypadku lekarzy czy profesorów wyższych uczelni, gdyż są tacy, co żyją z gołej pensji, i tacy, którzy z chałtur wyciągają górę pieniędzy.

Pewien dobrze znany mi były polityk za 45-minutowy wykład dla pewnej spółki, do którego przygotowywał się kilkadziesiąt minut, dostał 7,5 tys. zł i nie jest to żaden wyjątkowy przypadek.

Nie mam wątpliwości, że podstawowe wynagrodzenie najważniejszych urzędników w państwie powinno być znacząco wyższe, ale należałoby się zastanowić, czy nie powinno się im wtedy zabronić chałturzenia. Niestety, takie rozwiązanie będzie trudne do wyegzekwowania.

Doceńmy wiceministrów

Prof. Witold Modzelewski, wiceminister finansów (1992 – 1996), honorowy przewodniczący Krajowej Izby Doradców Podatkowych:

– W ostatnich latach zmniejszył się zakres realnej władzy ministrów konstytucyjnych, zmalała rola dyrektorów departamentów, za to od 1990 roku cały czas rośnie znaczenie

wiceministrów, na których dziś spoczywa codzienne rządzenie państwem. Nie dziwny się więc, że w ministerstwie jest 5 czy nawet 7 wiceministrów.

To nie są żadne przerosty administracyjne. Ci ludzie w ogromnej większości naprawdę mają co robić i to nie przez 8, ale czasem nawet 16 godzin dziennie. Dlatego moim zdaniem kluczową sprawą jest podniesienie uposażenia właśnie tej grupie wysokich urzędników.

Jeżeli wiceminister zarabia mniej niż podległy mu dyrektor departamentu, a takie sytuacje zdarzają się często, to przy tak dużym zakresie obowiązków można już mówić o ich dyskryminacji.

Większość wiceministrów, zwłaszcza podsekretarzy stanu, to przeważnie bezpartyjni fachowcy, którzy w prywatnym sektorze, nawet w spółkach średniej wielkości, mogliby zarabiać o wiele więcej. Stąd tak duża rotacja na tych newralgicznych stanowiskach.

KRZYSZTOF RÓŻYCKI "Angora" nr 10/2018